

Pamięci Władysława Skoczylasa

Pragnąc uczcić pamięć Władysława Skoczylasa, redakcja „ABC literacko-artystycznego” zwróciła się do członków „Rytu”, z prośbą o skrócone wspomnienia o nicodziałającym twórcy nowoczesnej grafiki polskiej. Zamieszczamy je poniżej:

Posiadał wszystkie cechy artysty i człowieka dużej miary, — był uczynny, skromny, prosty. Już w 1906 roku poznałem Go w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych na stanowisku Prezesa Bratniej Pomocy. Sprawował ten urząd systematycznie, wytrwale, godnie.

Kiedy porównywałem Jego nagrodzoną na konkursie głowę górala z takimiż pracami Dürera, uśmiechem starał się pokryć zażenowanie, wywołane tak pochlebnym zestawieniem.

Pewnego razu poruszyłem sprawę Jego społecznej działalności, która mu nawet wakacji nie daje spokojnie spędzić. Odpowiedział po prostu, że przecież musi to ktoś robić. Wiedział że artyści są tym elementem społecznym, więc sam był tam wszędzie, gdzie mógł służyć sztuce swoim doświadczeniem i pracą, a co ostatnio zdrowiem, a nawet może i życiem przypłacił.

Jako artysta dobrze zasłużył na chwałę, jako kolega — społecznik na cześć.

Edmund Bartłomiejczyk
Prezes Stow. Pol. Art.
Grafików „Ryt”.

Dwanaście lat mija od chwili, kiedy przestąpiwszy próg klasy graficznej w ówczesnej Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie, zetknąłem się osobiście ze ś. p. Władysławem Skoczylasem, jako profesorem. Chodziłem jeszcze w mundurze, jako świeżo przeniesiony do rezerwy ze służby czynnej w linii, podporucznik piechoty. Nie byłem zdecydowany czy studiować malarstwo, czy wrócić do przerwanych przez pięcioletnią służbę wojskową studiów rzeźbiarskich (w klasie prof. Wittiga w 1917 roku).

Otwarcie klasy grafiki zdecydowało o moim wyborze. Zapisalem się na grafikę. Nazwisko profesora nie było mi, rzecz prosta, obce — znałem drzeworyty Skoczylasa, podobają mi się, choć nie porywały. Blizsze memu sercu było zawsze morze z okrętami i urok miast, Góry i górale nie pobudzały mojej krwi do żywszego tętna. Jasność jednak kompozycji, lapidarność efektów w drzeworytach Skoczylasa interesowały mnie jako wartości formalne, a przede wszystkim „za górami, za lasami” położone wobec naturalizmu. Przy całej „ludowości” miały coś wspólnego z kubizmem — formę. Przypominam sobie, że sprawa wtajemniczenia mnie, pewnie i moich kolegów także, miała przebieg jasny i lapidarny — jak drzeworyty Skoczylasa.

Autor „Teki Zbojnickiej” pokazał nam parę klocków, parę dłupek i rylców, powiedział, że „to, co się wytnie w drzewie, to da na odbicie miejsce białe” i bodaj że to było wszystko. Dowiedziałem się też, że Dürer nie wycinał sam swoich drzeworytów, że więc właściwie nie powinno się mówić o drzeworytach Dürera.

No i ciąłem. Właściwie rzecz naturalną, że operowałem „grzebieńcem”, wedle wyrażenia kol. Podolskiego, skoczylasowskim. Różnica między moimi drzeworytami ówczesnymi, a profesora polegała na różnicy tematów, no i talentów. Skoczylas tolerował moje tematy zarówno, jak ich przedstawienie, jak się podobają je nazywać krytykom, ekspresjonistycznie. Skoczylas przeprowadzał korektę, żeby tak rzecz, logiczną, korektę utrzymania konsekwencji w całości rozwiązania kompozycji. Jeśli więc ktoś szedł na ujęcie dekoracyjne, w tym kierunku poprawiał pracę ucznia, to znaczy nie pozwalał mu na niekonsekwentne

wobec założenia, wysoki np. naturalistyczne. Ja komponowałem, jak je koledzy nazywali, „Krzywdy” (może dlatego, że tyle razy błakałem się po „Krzywym Kole” na Starem Mieście) i Skoczylas pilnował, żeby w mojej kompozycji nie było proste, a więc niekonsekwentne wobec założenia unikania kątów prostych. Dzięki temu prawdopodobnie uczniowie Skoczylasa, ci z „pierwszej kadrowej” odrodzonego drzeworytu w odrodzonej państwowo Polsce, są tak różnorodni dzisiaj, choć w pierwszych latach siłą rzeczy zresztą stąpali śladami profesora, przynajmniej jeśli chodzi o manierę cięcia — „grzebieńcową”.

Skoczylas nie z takim może temperamentem, (był bardziej zimny, niż rektor Pruszkowski), ale jednak był z nami koleżeńsi, można było powiedzieć, a opieram się rzecz prosta na własnym doświadczeniu, że uważał nas za młodszych kolegów, za rycheł, być może, współrytmików. Zdaje się, że się nie zawiódł. Konarska, czy Kulisiewicz. Podolski, czy Krasnodebska-Gardowska albo Mrozeński są to zdecydowane wartości pozycje w drzeworytnictwie polskim, i nie tylko polskim, pierwszej połowy XX wieku. Jeśli chodzi o mnie, osoba Skoczylasa — drzeworytnika właśnie dzięki nierozdrobnianiu czarności na drobne kłaczki sprawiła, że najwięcej robię drzeworytów. Zdaje się, że i Podolski byłby raczej miedziorytnikiem, (ma ku temu wrodzony właściwy temperament), gdyby Skoczylas nie był tak wybitnym drzeworytnikiem. Ja byłbym napewno akwafortystą.

Tak czy owak, mam wrażenie, że Skoczylas uczył nas nietylko umiejętności drzeworytniczej, ile miłości dla drzeworytu, że nietylko nas uczył, ile na nas oddziaływał. Ze swego doświadczenia pamiętam, że bardziej mnie ku drzeworytowi podniecały ryciny Skoczylasa, niż jego osobista korekta.

W drzeworytach Skoczylasa dużo było czarnego, i to odpowiadało moim predylekcjom, no i ujęcie rzeźbiarskie — (byłem przecież sześciomiesięcznym uczniem Wittiga). Skoczylas rozwieszał w pracowni Dürera czy kogo tam innego, ale ja pamiętałem tylko jego drzeworyty. U Dürera nie widziałem wcale drzeworytu. Myślę, że ten właśnie przykład własnego dzieła czynił ze Skoczylasa nie tyle może dobrego profesora, ile świętego inspiratora. Uczyliśmy się być może nawet sami, aby dorównać drzeworytom Skoczylasa. On czuł tylko nad tem naszym samokształceniem się w „polu estetycznym” jego indywidualności artystycznej. I z tego względu Skoczylas był cenny dla pierwszego pokolenia uczniów. Później, teraz, właściwie może będzie pedantyczne, „belferskie” wkuwanie w grafików najwyrafinowanych arkanów umiejętności i wiedzy. Na początek trzeba było porwać entuzjazmem. Skoczylas w okresie swego profesorstwa w Szkole Sztuk Pięknych wycinał jakby razem z nami swoje „Zaloty”, „Taniec Zbojników II”, „Łucznika”, „Walkę z Niedźwiedziem”. To rozumiem, profesor! Zamiast dać, jak się powinno drzeworyty wycinać, sam je wycina. Nie wiem, co mówił innym, moim kolegom, obecnym członkom założycielom „Rytu”, mnie kiedyś ostrzegł:

— Niech Pan szanuje czerń, niech Pan nie wycina za dużo drzewa, zostanie Panu biała, nie tyle plama, ile dziura w kompozycji!

Tak jak rytował „razem z nami”, taksamo hulał. Wycieczka jedna do Kazimierza z bezkonkretnym pod względem musującym humorem i dowcipu „Tadziem” Pruszkowskim i Skoczylasem jako profesorami była jakąś wyprawą zbojników po skarby...

malowniczości i graficzności Kazimierza.

Prześcigał się wtedy w „pozytecznym i przyjemnym”. Stawaliśmy na głowie... używając wody do studiów akwarelowych i „wody zdrobniałej” do studiów... psychologicznych. Skoczylas nie był ostatnim, ani przy sztalugach, ani przy stole. Pamiętam, że zapanbrat z nami jadł,



Pracownia graficzna Skoczylasa w Szkole Sztuk Pięknych. Od lewej do prawej: Tyrowicz, Czasznicka, Podolski, Grabowski, Krasnodebska, Konarska, Skoczylas, Cieślowski i Kulisiewicz. (Rok 1923).

„przemawiał” i śpiewał. Prawdziwy „Janosik” drzeworytu, z rylcem w jednej, a szklanicą w drugiej ręce, rej wodził w naszej sztuce i naszej zabawie. Potem trochę, jak kura patrząca na kaczka przez siebie wysiedziane, chodził koło nas kiedys się paprali w „kuchni” akwafortowej i litograficznej. Podobnie, jak prof. Józef Czajkowski był zdaje się zdania, że litografia polega na tym, iż się ciągle coś mo- czy poto, żeby potem suszyć. Suszy się poto, żeby znowu mo- czyć. Cierpiała jego dusza „czystego” drzeworytnika, widząc jak się jego tak troskliwie wychuchani pupile, brechezą w tych kwasach, wodach i wogóle „świństwach”. Musiał przeżyć gorzcy apozastaj Janki Konarskiej robią-

dowody potemu, że Skoczylas, jakkolwiek irytował się, uznawał w jakiejś mierze, jeśli nie formę to istotę mego temperamentu. Bardziej praktyczny i znający ludzi wiedział co i jak należy przeprowadzać.

W ocenie prac, w czasie „jury”, miał trafny sąd i raczej kierował się przychylnością, niż niechęcią. Nigdy nie był złośliwy,

frykasów i szpasów formalnych. I dziwne to, że taka dziesiąta woda po kisielu Vallottonowskim, Frans Massereel jest urbi et orbi znany, a Skoczylas o wiele, wiele mniej. Oczywiście, autor złośliwów nie jest nowoczesny, fabryczno-mechaniczny. No, ale estetycznie rzecz biorąc, gdzie szorstkości metier Massereela do stylu Skoczylasa. Kończę. Będę pamiętał Skoczylasa jako zwrotniczego w moim życiu artysty — przez niego wjechałem na szynę drzeworytu i nie mogę się z ich sugestii otrząsnąć. Wykoleił mnie, jako akwafortystę i malarza — czy z pożytkiem dla sztuki nie moja rzecz sądzić. Z racji skłonności do innych tematów nie podlegałem nigdy wpływowi jego stylu zarówno kompozycyjnego jak fakturowego, był mi bliski przez obfitość czerni i pasję do bryli, choć sam jej nie szukałem w moich drzeworytach. Skoczylas zrobił to wobec mnie, że zostałem akwafortystą wyrażającym się drzeworytem. Może dlatego razem z Mrozeńskim stałem trochę jakby na boku w jego drzeworytnictwie sercu. Umiał jednak Skoczylas zagłuszyć tę anse i w recenzji z mojej wystawy ukomplementował mnie po uszy. Wdzięczny Mu jestem za „zdrze worycie” — mnie. Nie sądziłem przed poznaniem Skoczylasa jako profesora, że znajdę tyle radości w segregowaniu czerni i bieli na gładkiej, jak powierzchnia marmuru płycie drewnianej. Wspominając Go dzisiaj, tak naprawdę przedwcześnie przez śmierć zabranego spośród nas, dziękuję Mu, że otworzył przedemną świat pelen tyłu uroków — świat drzeworytu.

Dziękuję Mu, że wpuścił mnie tam bezinteresownie, pozwalając się w tym świecie waleśać wedle własnego widzimisię, nawet błędnie. Postaram się w tym świecie coś wartościowego zrobić, żeby mój profesor nie musiał żałować swej lekkomyślności.

T. Cieślowski, syn.

Gdy się mówi o zrzeszeniach artystycznych i użykuje się za- zwyczaj na brak w nich pewnej tę- żyzny — przypominam mi się wtedy rozmowa na ten temat z ś. p. prof. Skoczylasem. Twierdził wówczas Skoczylas, że najtrudniej u- kłada się życie właśnie w orga- nizacjach plastyków, którzy prze- ważnie są dalecy od jakiegokol- wiek pracy społecznej. Jedni mo- że dlatego, że są pochłonięci wła- sną pracą artystyczną, inni spe- dzają czas nad pół czarnej.

„Dla nich to właśnie założyli- my Café IPS — dodał śmiejąc się profesor. — Dla mnie — ciągnął dalej — praca społeczna jest przekleństwem, a jednocześnie czymś, bez czego nie potrafiłbym żyć. Przecież musi ktoś wreszcie „to” zrobić. Tyle jest wciąż do zrobienia i coraz więcej! Czuję się nieraz znudzony bardzo, chcia- łym się ze wszystkiego wycofać i popracować wyłącznie dla sie- bie...”

W swej pracy społecznej wy- trwał Skoczylas do końca, skupia- jąc wokół swojej osoby całe życie artystyczne Polski. Marzenie o pracy dla siebie pozostało tylko marzeniem.

Stanisław Ostoja - Chrostowski.

Pośród wszystkich profesorów, których miałam — a było ich sporo — Skoczylas odznaczał się przede wszystkim tem, że wszystkich uczniów traktował jednakowo. Uderzyło mnie to, gdyż inni, choć- by to byli nie artyści przedewsz- ystkiem, lecz wybitni pedagodzy, jak Franz Cizek, lub pedantyczny urzędnicy, jak profesorowie wie- deńskiej Graphische Lehr- und Versuchsanstalt, zawsze, przy- najmniej w korekcie, mieli pewną bodaj niewielkie odcienie. Przy- puszczałem, że u Skoczylasa ta rów-

wnomierność w stosunku do uc- niów nie tylko poza pracownią, ale i w pracowni, co jest może trudniejsze, wypływała poprostu z natury wogóle życzliwej dla lu- dzi i z wielkiej delikatności uczuć, która i potem objawiała się w jego pracy profesorskiej. Korekta jego nie była nigdy iron- iczna ani brutalna, czasem na- wet jakgdyby nieśmiała — „mo- żeby to troszki zmienić” — albo z cichym wyrzutem do koleżanki która św. Sebastianowi dała łapy jaskiniowca — „Poco ze świętego małpę robić”? Taksamo, gdy się szukało jego rady lub pomocy po- za pracownią odczuwało się zaws- ze w jego sposobie traktowania sprawy niekłamana i niedzawko- wą życzliwość.

W. J. Goryńska.

Dzięki poznaniu Władysława Skoczylasa, który został później moim profesorem, znalazłam się w orbicie zainteresowań artystycz- nych, które wypełniły całe jego życie. Sugestywna jego siła wzbu- dziła we mnie entuzjazm, powo- dując wstąpienie do jego pracow- ni graficznej w nowoofortowanej Szkole Sztuk Pięknych.

Pamiętam jego uśmiech, gdy dawał mi pierwsze wskazówki. Nie stwarzając przepaści, czło- wieka stojącego u szczytu, otwie- rał skarbnicę swej wiedzy dla udostępnienia jej małuczkiem.

Od zarania pracy, przez wszyst- kie lata, do ostatnich dni, był nie- tylko profesorem, ale człowiekiem przed którym serce niejednokrot- nie otwierało się z ufnością, szu- kając otuchy i rady.

Jego prosta, pełna życzliwości postać Profesora — Przyjaciela będzie żyć zawsze w mej pamięci.

Bogna Krasnodebska-Gardowska

Minęło już dziesięć lat. Po- przez radość i smutek dni pra- cowniczych widzę Jego postać. Przy każdym z nas jest, każdemu coś powie, uśmiechem obdarzy, jak kwiatem. Mówi niewiele — ale to co powie jest twarde jak skała.

Słowa proste przerażały się w pracę naszą — tak wiele w nich było wiary i mocy.

Zawsze był przy nas, ręce wy- ciągał, gdy ktoś padał i był jak ojciec.

Poprzez słoneczne dni wiejskie znów Go widzę. To było krótko, zaledwie jakiś czas. Dni wiejskie są długie, a On jest niestrudzony w swojej pracy.

O zmierzchu obdarza nas u- śmiechem i wszystkim co wiel- kie jest w Nim.

A teraz jest cicho, żal gdzieś drga i dzień wiosenny jest jak bez słońca. W górach jesienią płaczą, a wiatr co kiedyś wieczorem zerwał się z wąskich pól, pobiegł po dolinie, zawodził, — stukał do okien i szeptał o tym dniu.

Tadeusz Kulisiewicz.

Kiedyś jedna znajoma paniusia powiedziała do mnie: „Poznałam dziś w towarzystwie tego sławnego Skoczylasa. Boże, ależ on jest zupełnie jak jaki zwyczajny czło- wiek”.

Drugi wypadek: w Polskiem Towarzystwie Artystycznym, na Trębackiej, na czarnej kawie, roz- mawiałem ze znajomym studen- tem. Był to inteligentny chłopak. Gdy z rozmowy dowiedział się, że tu, w tym samym lokalu, jest Skoczylas, zaczął mnie prosić: „Musisz mi go koniecznie po- kazać!”

Zaprowadziłem studenta do czy- telni, stanęliśmy w drzwiach i głową wskazałem mu zażywnego pana w okularach (Skoczylas przy czytaniu używał szkieł), przeglądającego czasopismo arty- styczne. Łasy na znakomitości chłopak, przyglądał mu się uważ- nie, ale po minie nie mogłem (Dalszy ciąg na str. następnej)



Pokoik w Szkole Sztuk Pięknych, w którym pracowali starsi uczniowie Skoczylasa, dzisiaj członkowie „Rytu”. Od lewej do prawej: Ko- narska, Kulisiewicz, Krasnodebska, Skoczylas, Podolski, Czasznicka. (Rok 1925).

cej pracę dyplomową... w sztychu i moje zaprzęstwo wyrażające się pracą dyplomową... w lito- grafii. Osladzała mu naszą zdra- dę teka Bogny Krasnodebskiej pysznie drzeworytnicą, na te- mat Apokalipsy. I widać przeba- czył nam te sztychy i litografie i dobrze się z nami czuł, bo wkrótce po oficjalnym rezejsciu się, jako profesora z uczniami, zwołał nas i zorganizował razem z nami „Ryt”. W „Rycie” Skoczylas był tem, czym i w innych gru- pach — organizatorem o jasnym i lapidarnym sądzie o rzeczy. Sterował nami wytrawnie, jak ostrzem swego rylca czy dłutka. Blaskiem swego imienia wyrobił „Rytowi” — imię niepośledniej miary.

Oczywiście swarzyliśmy się, nieraz namiętnie. Nigdy nie brak mi było zadzierzystości, ujawnia- łem ją i w „Rycie”, a że nie lubi- łem walki ze słabymi, rzuciłem się na silnych. Myślę, a myślałem

teresał się obficie miastem — starą Warszawą, ostatnio odwa- żył się nawet na krawcenkowski zygzak. Jeśli wolno mi na tem miejscu tę uwagę zrobić, myślę, że powinien był Skoczylas, jak to się mówi „rozbudowywać” włas- ny styl bez sięgania ku innym — nie miał talentu żonglera, był raczej zachowawcą z urodzenia. Może jednak dokuczała mu łat- wość niezmierna kompozycji i metier. Ale trudno, pierwsiosek musi być przez całe życie swoje pierwsiośnikiem, a bławatek bła- watkiem.

Wszystkie legendy, baśnie, po- dania polskie winny były być da- ne Skoczylasowi do wykucia. Bo takie się słowo narzuca nieodpor- nie wobec jego stylu w drzewo- rycie.

Razem ze Stryeńską stanowi on bowiem objaw jedności sztuki mogącej się nazywać polską. Żadnych u niego grymasów i wy- krętasów fakturowych, żadnych